

Janusz Rulka

## Moje bydgoskie półwiecze Kapuściska 1957-1959

Wiosną 1957 r. moje rozterki związane z pracą i ukierunkowaniem całego życia doszły do szczytu. Wiedziałem **na pewno**, że nie mogę nadal pracować w ZMS-ie, mimo że była to jedynie praca w klubie kultury dla młodzieży („Salamandra” przy ul. ks. Piotra Skargi 3, w kilka lat później przemianowanym na „Kosmos”). Jako historyk wiedziałem, że właściwie jestem przygotowany jedynie do pracy nauczycielskiej (potem okazało się, że przygotowanie to jest mocno niewystarczające).

Dlatego wybrałem się do miejskiego Inspektoratu Oświaty, którym kierował w tych latach mgr prawa Mieczysław Majdziński. Był to człowiek w średnim wieku, z dobrze zarysowaną łysiną, pełen życia i życzliwy ludziom. W dziale kadr skierowano mnie do młodej kierowniczki Aliny Zatorowskiej, która całkiem sympatycznie wyjaśniła mi, że wprawdzie w szkołach zaczyna się wyż demograficzny, ale na razie obejmuje on głównie klasy początkowe (dzieci od 7 do 11 lat). – Potrzeba nam głównie nauczycieli po liceach pedagogicznych do klas początkowych. Zresztą gdyby był pan matematykiem, rusycystą, nawet polonistą to tak, ale historyk...

Nawet wtedy z zatrudnieniem historyków, geografów, chemików były trudności. Dziś, otrzymanie jakiegokolwiek pracy nauczycielskiej z jakiegokolwiek specjalności, graniczy z cudem lub wymaga układów urzędowo-politycznych czy rodzinnych. I pomyśleć, że w socjalizmie opowiadany był dowcip:

- Wyobraź sobie, ten Iksiński nie ma rąk ani nóg, a jak się urządził!
- Dlaczego?
- Bo miał plecy.

Ale to, co było wtedy, ma się nijak do sytuacji, gdy mamy dziś ponad 2 miliony bezrobotnych.

Wróćmy do tematu. Pani Zatorowska zaproponowała, abym sam pochodził po dyrekcjach szkół. Zacząłem od liceów i techników, ale bez efektów. Potem odwiedzałem, liczne wtedy, zasadnicze szkoły zawodowe. Bez skutku. Czarna rozpacz.

Wreszcie w ZSZ na Rybim Rynku, tam gdzie później był wydział budownictwa ATR, a od kilku lat Wyższe Seminarium Duchowne, wychodzący z gabinetu dyrektor, na moje uniżone zapytanie o pracę odpowiedział:

– Idę na naradę, proszę poczekać, może coś znajdziemy.

Czekałem z nadzieją ze trzy godziny. Dyrektor wreszcie wrócił, spojrzął na mnie podrywającego się z krzesła przed sekretariatem i powiedział zdziwiony:

– Po co pan tu czeka, przecież żadnych godzin wolnych nie mam.

Ta scena wryła mi się w pamięć na całe życie. Siłą woli wstrzymałem się wtedy, aby nie rzucić mu się do gardła. Od tego czasu, mimo że pracuję już 56. rok (z przerwami jedynie na szpitalne kuracje i 2 operacje serca), ciągle na świeżo wiem, co odczuwają bezrobotni niemogący znaleźć zatrudnienia. A tych, zarówno wśród dorosłych, jak i szczególnie wśród młodzieży coraz więcej...

Widząc brak efektów swych poszukiwań, napisałem wtedy list do kolegów ze studiów, Lecha Mokrzeckiego, który równoległe z historią studiował w Wyższej Szkole Muzycznej w Gdańsku u prof. Kazimierza Wiłkomirskiego (specjalność wiolonczela) z pytaniem, czy nie pomogłaby mi jego mama.

Rodzina Mokrzeckich pochodziła z Wilna i z kresów wileńskich. Jak się dowiedziałem w czasie studiów, w trakcie rozmów i luźno rzuconych uwag, dziadek Lecha i brat dziadka ze strony ojca byli oficerami carskim, a w czasie wojny polsko-bolszewickiej generałami nowo tworzącej się armii polskiej. Generał Stefan Mokrzecki był nawet w 1920 r. dowódcą Okręgu Generalnego Pomorze z siedzibą w Toruniu. Ojciec Lecha był oficerem w pułku artylerii ciężkiej (PAC) stacjonującym w Wilnie. Tam poznał uroczą maturzystkę, Irenę, wybierającą się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Stefana Batorego. Skończyło się to udanym małżeństwem.

W 1935 r. urodził się z tego związku mój kolega z rocznika historii UMK (1952-1956). Ojciec Lecha we wrześniu 1939 r. dowodził dywizjonem artylerii ciężkiej w I Dywizji Legionów. Został ciężko ranny i zmarł w szpitalu polowym.

Mama w okresie powojennym ukończyła zaocznie rusycystykę i w 1957 r. pracowała w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym w Toruniu. Była czło-

wiekem wielu zalet charakteru. Życzliwa, łącznie z dożywianiem kolegów syna, pełna radości życia, mimo wielu trudnych przeżyć w okresie kilku różnych okupacji Wilna, i zawsze uczynna wobec ludzi.

Dzięki jej zabiegom u ówczesnego dyrektora wojewódzkiego pionu szkolnictwa zawodowego (kuratoria zajmowały się aż do 1957 r. jedynie szkolnictwem ogólnokształcącym), pana Szostaka, wróciwszy z wakacji u Rodziców na wsi dowiedziałem się, że od 1 września 1957 r. będę zatrudniony jako wychowawca w Internacie szkół zawodowych przy ulicy Łukasiewicza na budowanym wtedy osiedlu Kapuściska. Równie ważnym był fakt, że otrzymałem tam do zamieszkania wąski pokój z umywalką i mogłem się wynieść ze śmierdzącego, zgniłego baraku na ulicy Krasieńskiego.

Osiedle Kapuściska było w owym czasie zamieszkałe głównie przez pracowników zakładów chemicznych, które w początkach lat 50., kiedy trwała wojna w Korei, zostały mocno rozbudowane dla celów wojskowych. „Starych” Bydgoszczan było tu mało. Większość pracowników przybywała z całej Polski, głównie ze wsi. Część z nich zamieszkiwała kilka hoteli robotniczych zajmujących pokaźne bloki. Rodziny dostawały natomiast małe, przeważnie dwupokojowe mieszkania. Mieszkania nie miały balkonów, tylko duże drzwi kończące się żelazną balustradą. Miały natomiast małe łazienki i kuchnie z oknem. Dopiero w latach 60. za „późnego” Gomułki zaczęto budować ciemne kuchnie, co było jednym z większych przestępstw socjalizmu przeciw zdrowiu i samopoczuciu obywateli. W pokojach kładziono solidny parkiet. Na osiedlu działały dwie rejonowe ciepłownie z wysokimi dymiącymi kominami. Dopiero w latach 70., po wybudowaniu na terenie Zachemu elektrociepłowni, zaczęto podłączać poszczególne osiedla, w tym i Kapuściska, do ogólnomiejskiej sieci ciepłowniczej. Poprawiło to wyraźnie czystość powietrza. Całe osiedle miało kształt nieforemnego prostokąta. Od południa ograniczone ulicą Wojska Polskiego, wtedy jednopasmową, od wschodu i północy wygiętą ulicą Janka Krasieńskiego (dziś Kamila Baczyńskiego), od zachodu ulicą Planu Sześćioletniego.

Sklepy były jedynie przy zbiegu głównej ulicy wewnętrznej, czyli Ignacego Łukasiewicza i Wojska Polskiego, oraz kilka w podcieniach przy ulicy Planu Sześćioletniego. Było ich za mało, co powodowało permanentne w nich kolejki. Na ulicy Łukasiewicza był tylko jeden sklep mięsny, jeden spożywczy, jeden rybny i jeden warzywny. Bazar handlowy powstał dopiero po przemianach ustrojowych. Była też jedna restauracja przy ulicy Noakowskiego.

Ulica Planu Sześćioletniego miała być dwupasmowa, co dziś by się mocno przydało, ale na przełomie lat 60. i 70. ją zwężono, gdy zaczęto budować drugą, zachodnią stronę Kapuścisk, gdzie poprzednio był dziki teren z resztkami



jakichś okopów. Od strony południowej, między ulicą Wojska Polskiego a laskiem, rosło żyto, podobnie od wschodu i północy za ulicą Krasickiego, gdzie były jedynie dwa bliźniacze budynki szkolne. Jeden zamykający perspektywę ulicy Łukaszewicza zajmowało V Liceum Ogólnokształcące, drugim była moja szkoła nr 28.

Dojazd do Kapuścisk był jedynie tramwajowy. Na Babiej Wsi w pierwszej połowie lat 50. powstała pętla tramwajowa, a stamtąd linia Brda prowadziła do Łęgowa, z odgałęzieniem na ulicy Toruńskiej pod górę do Kapuścisk. W czasie wojny jeńcy radzieccy, a od 1943 r. włoscy, wybudowali sieć betonowych dróg (Nowotoruńska, Bełzy, Chemiczna i drogi wewnątrzzakładowe). Wielu tych jeńców, szczególnie Rosjan, zmarło przy tej pracy. Żadnych linii autobusowych w latach 50. w tym rejonie nie było.

Wracać z miasta trzeba było dość wcześnie, bo przed 23 odchodził z Babiej Wsi ostatni tramwaj. Kto się spóźnił, musiał te drałować pieszo, co mi się ze dwa razy, po dłuższych randkach, zdarzyło.

W dniu swych przenosin na Kapuściska (cały dobytek zmieścił się w jednej walizce) dowiedziałem się, że moje starania o pracę nauczycielską również zakończyły się sukcesem. Dostałem etat w szkole podstawowej nr 28, dziwnym trafem też zlokalizowanej na Kapuściskach przy ulicy Janka Krasickiego (dziś Kamila Baczyńskiego).

Po zapoznaniu się z ówczesnym kierownikiem Internatu, nauczycielem wf, Leszczakiem, a także jego żoną dentystką, która prowadziła szkolny gabinet dentystyczny (były wtedy takie!), i również nam, wychowawcom, ratowała zęby, z pewnym ociąganiem powiedziałem mu o nagłym nadmiarze propozycji.

Ku memu zdziwieniu, kierownik przyjął to z pełnym zrozumieniem, a nawet zaproponował praktyczne rozwiązanie. Brzmiało to mniej więcej tak.

– To się da połączyć. Proszę wziąć obydwie prace. O 6<sup>15</sup> jest pobudka w Internacie. Pracuje pan tu do 7<sup>55</sup>, przez 5 minut przebiegnie ten krótki dystans do szkoły. Tam te parę lekcji, o 13<sup>30</sup> będzie już pan wolny, spacerek powrotny i od 14<sup>00</sup> znów jest Magister w pracy w Internacie.

Kierownik często mówił do mnie dość bezosobowo „Magister”. Było to z jednej strony zrozumiałe, bo wtedy ludzi z tym stopniem było niewiele, ale z drugiej strony odczuwałem to jako pewne lekceważenie, chociaż się z tym przekonaniem nigdy nie zdradzałem.

W ten sposób rozpocząłem swoją dwuetatową, a czasem tylko półtora etatową pracę, która trwała przez lat 50. Dopiero od 2004 r., zatem od przejścia na emeryturę, zacząłem odpoczywać, czyli mieć jeden etat plus pisanie od czasu do czasu jakichś tam tekstów. Piszę mi się to lekko, nawet z poczuciem

ironii, ale dziś zastanawiam się, jak to można było wytrzymać. Po prostu byłem wtedy młody.

Plan mojego dnia wyglądał następująco. O 6<sup>15</sup> rozlegał się na długim korytarzu każdego z pięter głos dzwonka. Był to jednak nie tyle przyjemny *Jingle Bell*, co raczej basowy, przerywany ryk. Zainstalowali go po zbudowaniu Internatu jacyś sadyści. Ale był skuteczny. Zarówno wychowawcom, jak i młodzieży, przy tym ryku nie udawało się przedłużyć snu nawet o minutę.

Umywalnie i toalety były wspólne dla całego piętra. Na każdym, w dziesięcioosobowych sypialniach, mieszkało około 100 wychowanków. Na I piętrze chemicy (wychowawca Leonard Cichewicz), na II piętrze murarze, zbrojarze, hydraulicy i elektrycy (wych. Janusz Rulka i na pół etatu Józef Jętczak), zaś na III piętrze też uczniowie tych specjalności (wych. Władysław Skibicki plus zmieniający się na godziny nauczyciele ze szkoły chemicznej).

Po rannych ablucjach od 6<sup>45</sup> w dwu turach odbywało się śniadanie. Zawsze dyżurował w stołówce (wtedy mówiono często rusycyzmem: „na stołówce, na szkole, na fabryce”) przynajmniej jeden wychowawca. Posiłki jadła kadra przy stoliku w rogu, mając oko na całą salę. Jedliśmy takie same porcje jak uczniowie. Były to często bardzo głodne porcje. Np. kolacja: chleb, 2 dag smalcu, zabielana kawa. Koniec. Jedynym pełnowartościowym posiłkiem był obiad. Dzieciaki czasem szły po dolewkę zupy i dopychały się chlebem, którego też nie było za dużo. Im pomagały przywożone wiktuały od rodziców, my dojadaliśmy z zakupów robionych w słabo zaopatrzonych sklepach.

Obiad trwał od 14<sup>00</sup> do 15<sup>30</sup> i uczniowie dostawali go w zależności od momentu zakończenia lekcji lub powrotu z praktyk zawodowych. Nad główną ścianą jadalni wisiał idiotyczny, na stałe namalowany wielki napis: „Żyjemy nie po to, aby jeść, ale jemy po to, aby żyć”.

W zderzeniu z ilością i jakością pożywienia hasło to brzmiało ironicznie. Mnie dodatkowo kojarzył się ten „łozung” z innymi, które były modne do 1956 r. W biurach wisiały apele do interesantów: „Załatw sprawę i żegnaj”, w halach fabrycznych: „Ja nie wypuszczę braku”, na kilku dworcach widziałem wielki napis: „Matko karm piersią”. Ten ostatni był nawet wykorzystany w jednym z „odwilżowych” filmów.

Po obiedzie był czas wolny. Wychowankowie mogli latem na boisku pograć w piłkę, zimą zabawić się śnieżkami, a czasem pod nadzorem zjeżdżać dużymi saniami ze skarpy kapuścińskiej (wtedy jeszcze zimą było dużo śniegu). Niektórzy odpoczywali w sypialniach lub mogli wyjść na osiedle.

O 17<sup>00</sup> w dużych salach, zwanych „uczelniami”, znajdujących się po jednej na każdym piętrze, musiał przebywać każdy, odrabiając lekcje. Obowiązywała cisza, której pilnował dyżurujący w każdej sali wychowawca. Od 19<sup>00</sup>

była kolacja, wieczorny apel na korytarzu, potem czas wolny w salach, mycie i o 22<sup>00</sup> cisza nocna, którą czasem trzeba było trochę wymusić. Przeważnie jednak uczniowie zasypiali bardzo szybko, bo przecież już o 6<sup>15</sup> była pobudka.

Wkrótce zauważyłem, że młodzież jest wyraźnie zróżnicowana w zależności od „studiowanej” specjalności. Na moim piętrze najslabsi intelektualnie, sprawiający sporo kłopotów wychowawczych, byli murarze i zbrojarze. Nieco wyżej stali hydraulicy. Najsympatyczniejsi w rozmowach, poziomie wiedzy i zachowaniu byli przyszli elektrycy. Oczywiście jest to ocena sumaryczna, bo indywidualnie układało się to dość różnie. Wszystko to trzeba było też widzieć w odpowiedniej proporcji. „Najlepsza” młodzież szła do liceów ogólnokształcących, których w całym mieście było wtedy tylko sześć oraz do niektórych cieszących się renomą techników. Większość, w tym i sporo o dużym ilorazie inteligencji, ale z biednych rodzin chłopskich i robotniczych, szła do pozostałych techników i zasadniczych szkół zawodowych (50% młodzieży), wtedy dwu-, a potem trzyletnich.

Początkowo wydawało mi się, że najwięcej kłopotów będzie z opanowaniem rozbrykanych nastolatków, tymczasem po zarządzonych przez kierownika wyborach samorządu piętrowego okazało się, że otrzymaliśmy w nich świetnych pomocników. Przewodniczącym został mający duży autorytet uczeń drugiej klasy elektrycznej o nazwisku Boiński (jestem zdumiony, że po przeszło półwieczu przypomniało mi się w trakcie pisania jego nazwisko). Potrafił on, z resztą samorządu, współpracować z nami zarówno w sferze wychowawczej, jak i dydaktycznej. Miał też autorytet wśród kolegów.

Już po dwu czy trzech tygodniach przyszedł do mnie z informacją, że część wychowanków zamiast rano się myć, zrasza jedynie włosy i je przeczesuje. Wspólnie z Józkiem oraz członkami samorządu zaczęliśmy dyżurować w umywalni, aby myli także „buzię, uszy i szyję”. Raz na tydzień odbywała się grupami kąpiel w podziemiach Internatu. Okazało się, że niektórzy chętnie by z tego zrezygnowali, a jeśli już, to kąpiel odbywali nie zdejmując spodenek. Trzeba było ich skłonić, by myli wszystkie części ciała.

Najgorsze okazało się utrzymanie ciszy w „uczelni”. Przymusowa, wspólna nauka w dużej sali powodowała, że niektórzy zaczynali przy stołach rozmawiać, robiąc hałas uniemożliwiający naukę pozostałym. Dyżurującym na zmianę, Józkowi lub mnie, wymuszenie ciszy nie bardzo wychodziło i było dość męczące. Jakoś samorzutnie, w trakcie spacerów między stołami, wpadliśmy obaj na ten sam pomysł. Po prostu trzeba im pomagać w odrabianiu lekcji. Józek Jętczak – ówczesny zaoczny student wydziału mechanicznego Wyższej Szkoły Inżynierskiej – pomagał im w matematyce i przedmiotach technicznych, zaś ja w języku polskim i przedmiotach ogólnych. Okazało się,



że młodzież, pochodząca przeważnie ze wsi lub zaniedbanych środowisk miejskich, umiała to docenić. Nasza praca wychowawcza stała się dużo łatwiejsza. Nie znaczy to jednak, że wszystko układało się jak należy. Była grupka wychowanków, która niszczyła sufity umywalni i toalet, rozmiękczając końcówki zapalek i zapalone podrzucając w górę by przykleiły się do sufitu. W efekcie powstawały brzydkie, osmolone plamy. Zwalczanie tego procederu, bez wykrycia sprawców, trwało dość długo.

Zupełnie nonsensowny wybryk nastąpił w jednej z sal, w której wspólnie mieszkali uczniowie drugiej i pierwszej klasy. Ci z drugiej urządzili pierwszacom fantastyczny – w ich mniemaniu – dowcip, tzw. jazdę na rowerze. Po zdjęciu z łóżek koców głęboko śpiącym pierwszacom powkładali między palce stóp kawałki gazet i je podpalili. Śpiące twardo dzieciaki pocierały nogę o nogę, co dawało patrzącym wrażenie, że ofiary jadą na rowerze. Budził je dopiero ostry ból poparzeń. Gdy okazało się rano, że poparzeni nie są w stanie założyć butów, wybuchła awantura. Sprawcy tłumaczyli się, że rok wcześniej – jako pierwszacy – też byli przedmiotem takiej „zabawy”. Wprawdzie nikt nie został za to wyrzucony, ale widocznie postawa wychowawców i kierownika była tak zdecydowana, że incydent się nie powtórzył.

Pamiętam jeszcze jedno wydarzenie. W pewnej sypialni zaczęto się skarżyć, że mieszkańcom giną różne drobiazgi. Kilku wskazało nawet podejrzanego – nazwijmy go Stasiu. Wezwałem go na rozmowę i próbowałem przez ponad pół godziny prośbą i groźbą skłonić do przyznania się i wskazania miejsca ukrycia „skarbów”. Bez rezultatu. Akurat skończył się czas nauki własnej. Do pokoju wszedł z dyżuru w uczelni Józek, a ponieważ ja musiałem pójść na dyżur do stołówki, zostawiłem Stasia pod jego opieką. Po kilku minutach przyszedł też na kolację Józek, usiadł przy naszym służbowym stoliku i spokojnie oświadczył.

– Przyznał się i pokazał kryjówkę, gdzie schował skradzione przedmioty.

– Jak to zrobiłeś? Ja niczego nie byłem w stanie od niego wydusić przez pół godziny!

Józek na to:

– Ja go nie przekonywałem. Dałem mu raz w gębę i zapytałem, czy mam powtórzyć z drugiej strony.

Oczywiście cała czwórka wychowawców, słuchających tego dialogu, zrozumiała siłą użytych argumentów. Wprawdzie Józek był uosobieniem dobroci i opanowania, ale wojskowo służył w marynarce i rękę miał ciężką.

Przeszukanie skrytki wykazało, że Stasiu zebrał pokaźną ilość różnych drobnostek, wszystko kumulował. Był po prostu kleptomaniem. Na specjalnym apelu, jego sala najpierw wykluczyła go ze swego grona, a następnie w obli-

czu autentycznej skruchy i rześstego płaczu zainteresowanego, za naszą sugestią, ponownie, chociaż z oporami, przyjął go do swojego grona. O sprawie nie poinformowaliśmy nawet wychowawcy jego klasy. Dla chłopaka był to taki wstrząs, że zaczął się nawet lepiej uczyć i ukończył szkołę z zupełnie przyzwoitym wynikiem.

W tym miejscu chciałbym dokonać pewnego uogólnienia. Gdyby taka sprawa była rozwiązywana obecnie, gdy dominuje pedagogika praw dziecka, praw kobiet, praw mniejszości, a paradoksalnie ilość najcięższych przestępstw w każdym z tych obszarów wzrasta, być może sprawca nie zostałby wykryty. Młody człowiek nadal chodziłby z garbem niewłaściwego postępowania. Jeśli chodzi o drugą stronę, gdyby dziś wychowawca zastosowałby taką metodę „perswazji”, uczeń złożyłby na niego skargę i złamano by życie przyszłemu świetnemu inżynierowi i dyrektorowi szkoły. Natomiast stosowanie ówczesnych, dość prostych, ale sprawiedliwych form postępowania, wbrew dzisiejszej nowoczesnej pedagogice, która do absurdu doszła w Stanach Zjednoczonych, kształtowała charaktery ludzkie bardziej wprost, na zasadzie biblijnej: „Tak – tak, nie – nie”.

Chyba po miesiącu do moich dwuetatowych obowiązków dołożono trzy godziny zajęć wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Chodziło o to, by uczniowie wiedzieli, że jestem nie tylko wychowawcą, ale i nauczycielem. Było to dla mnie ciekawe doświadczenie. Moje teoretyczne dywagacje zde-rzały się bowiem z obserwacjami uczniów wynoszonymi głównie z odbywanych praktyk zawodowych.

Akurat gdy omawiałem sprawę poszanowania własności społecznej, którą powinniśmy cenić na równi, a nawet więcej niż własność prywatną, do dyskusji zgłosił się, po pewnych wahaniach, uczeń o nazwisku Tucholski. Powiedział, że właśnie jego klasa hydraulików skończyła niedawno praktyki. On pracował w ekipie, która na ulicy Koronowskiej układała centralny rurociąg prowadzący wodę do miasta z nowo uruchomionego ujęcia wody z Brdy na Czyżkówku. Była to wielka inwestycja komunalna, o której wiele pisano w prasie. Sam rurociąg też był opisywany, bo zastosowano tu zamiast żeliwnego czy stalowego, rurociąg żelbetowy. Składał się on z rur o długości kilkunastu metrów, zakończonych wzmocnionym „kołnierzem”, w który wkładano kolejny odcinek. Miejsca łączenia kołnierza i kolejnej rury były uszczelniane specjalnym tworzywem składającym się z odpowiedniego lepiszcza, w skład którego wchodził również ciężki i plastyczny ołów (dziś by prawdopodobnie takich uszczelnień nie stosowano ze względu na odkryte chorobotwórcze właściwości ołowiu). Jednakże uczniowi chodziło o coś innego. Oto prawie każdego dnia majster wysyłał go z ciężką teczką tegoż ołowiu do pobliskiego punktu



skupu złomu, a za uzyskane środki brygada raczyła się piwem. Oczywiście szczelność i odporność na wypychanie złączy ulegała przez to wyraźnemu osłabieniu. Byłem tym tak zbulwersowany, że zgłosiłem sprawę dyr. Winowieckiemu z prośbą o przekazanie tej informacji władzom. Jakie były dalsze losy tego incydentu – nie wiem. Natomiast przypominało mi się to zawsze, gdy w ciągu następnych dziesiątków lat na ulicy Koronowskiej miało miejsce kilkanaście, a może więcej, wielkich awarii polegających na wypchnięciu przez płynącą pod ciśnieniem wodę uszczelnień z tych kołnierzy. Tak to zły projekt i złe, a raczej kryminalne wykonanie tej inwestycji, przyczyniało się do kłopotów Bydgoszczy w zaopatrzenie w wodę. Całe szczęście, że mieliśmy rozbudowywane i rzetelnie prowadzone ujęcie ze studzien głębinowych w Lesie Gdańskim.

Dziś oczywiście rurociąg na Koronowskiej jest wymieniony. Z ulicy wprowadzono ruch tranzytowy na dwupasmówkę Nad Torem, a ujęcie na Czyżkówku podlega kolejnej dużej rozbudowie.

W tym miejscu chciałem też powiedzieć o kilku pracownikach Technikum i Zasadniczej Szkoły Chemicznej. Dyrektorem Zespołu Szkół był pan Winowiecki. Był to wyprostowany, chudy mężczyzna około pięćdziesiątki, z całkowicie siwą czupryną. Człowiek całą duszą oddany szkole, świetny organizator i społecznik. Stare Kapuściska w dużym stopniu zawdzięczały mu doprowadzenie do porządku trawników i posadzenie drzew, gdy zakończono budowę domów. Pracował w czasie wolnym razem z uczniami i nauczycielami nad porządkowaniem Osiedla.

W stosunku do nauczycieli był wymagający i dość obcesowy. Kiedyś przyszedł do Internatu, gdy na moim piętrze w kilku salach instalowaliśmy nowe łóżka. Składowane były w piwnicy, gdzie dyżurowałem przy ich pobieraniu. W pewnym momencie usłyszałem, że uczniowie wnoszący je na górę tłuką nimi o schody. Pobiegłem więc na górę, by temu zapobiec. W tym czasie dyrektor, który był na piętrze, też usłyszał ten hałas i innymi schodami zszedł na dół. W ten sposób był przekonany, że nikt z personelu nie kontroluje sytuacji. Dowiedziawszy się od uczniów, że to moja działka, zaczął mnie podniesionym głosem negatywnie oceniać. Uczniowie po zakończeniu pracy zaraz mnie o tym poinformowali. Na drugi dzień poszedłem do jego gabinetu, wyjaśniłem sytuację i powiedziałem, że nie życzę sobie, by negatywną opinię o mojej pracy wypowiadał przy uczniach. Dyrektora zatkało. Pewnie nikt z podwładnych tak z nim nie rozmawiał. Nie przeprosił mnie, ale od tej pory miałem spokój. Zdaje się jednak, że sympatii do mnie nie żywił. Innym kolegą, którego chciałem wspomnieć, był inżynier Kazimierz Król, świeży absolwent WSI. Młody, wyprostowany, dość małomówny, bardzo dobry organizator kie-

rujący szkolnymi warsztatami. Kilkanaście lat później, gdy byliśmy sąsiadami w nauczycielskim osiedlu mieszkaniowym przy ulicy Libelta, dowiedziałem się od niego, że w czasie wojny jako dziecko był z całą rodziną represjonowany przez Niemców. Cudem przeżył gehennę obozu w Potulicach. W latach 70. był dyrektorem jednej ze szkół technicznych. W stanie wojennym represjonowany za działalność w Solidarności. Zwolniono go z dyrektury i usunięto ze szkoły. Niestety, jak się w latach 90. dowiedziałem od niego, brali w tej nagonce, udział dawni dobrzy koledzy – inżynierowie. Wkrótce po 2000 r. zmarł na ostrą niewydolność sercowo-płucną.

W czasie pierwszej rady pedagogicznej moje zainteresowanie wzbudziła też młoda, ładna i inteligentna polonistka. Musiała tak przyciągać mój wzrok, że siedzący obok wuefista Janiak, też młody człowiek, szturchnął mnie w bok i powiedział:

– Nie gap się i tak nie masz szans, ona jest narzeczoną hrabiego Drohomyreckiego.

Rzeczywiście, kilka dni później zobaczyłem ich razem idących ulicą Łukaszczyka. Znałem z historii tę zasłużoną dla Pomorza, a szczególnie dla Powiśla, rodzinę. Teraz zobaczyłem najmłodszego potomka rodu – wysokiego na 2 metry, chudego, z opuszczonymi wąsami. Skojarzył mi się momentalnie z sienkiewiczowskim Podbipiętą. Obok dreptała piękna, nieco poniżej średniego wzrostu polonistka, trzymając go pod rękę, co robiło wrażenie, jakby trzymała się uchwytu w tramwaju. Podobno byli później udanym małżeństwem, ale nic bliższego już o nich nie słyszałem.

Wróćmy do Internatu. Po kilku tygodniach pojawił się tu nowo zatrudniony w szkole matematyk po studiach – Kazimierz Orchowski, razem z żoną, też nauczycielką, któremu dyrekcja ofiarowała oprócz pracy jeden pokój na parterze jako służbowe mieszkanie. W niektóre dni odbywał też u Władzia Skibickiego popołudniowe dyżury. Orchowski okazał się zapalonym brydżystą i zmusił nas do prawie codziennych rozgrywek karcianych. Gracze zbierali się w różnych pokojach wychowawców, przeważnie o 22<sup>00</sup>, po rozpoczęciu ciszy nocnej. Okazało się jednak, że znających się na tej grze jest tylko czterech. Dlatego każdy musiał grać, czy miał do tego nastrój, czy nie. Najgorzej wypadałem ja. Rano czekała mnie praca nie tylko w Internacie, ale i w szkole. Po północy wprost padałem ze zmęczenia i robiłem kolosalne błędy, nie tyle w licytacji, co samej rozgrywce. W tej sytuacji koledzy uznali mnie za niepełnowartościowego i często zmieniany byłem przez dochodzących – szkolnego wuefistę Janiaka, który, będąc kawalerem, sypiał w magazynku obok sali gimnastycznej lub młodego inżyniera chemika – Kabacińskiego. To mi dawało odetchnąć i trochę się wyspać.

Niestety, nasze pokoje były od zachodu, a okna niezbyt szczelne, dlatego zimą, przy cienkich materacach oraz sfatygowanych kołdrach, w mroźniejsze i bardziej wietrzne noce, po prostu się marzło. Kiedyś tak przemarzły mi plecy, że ze dwa tygodnie chodziłem jak połamany. Wymusiliśmy wtedy na dyrekcji szkoły i kierownikowi Internatu zakup nowych materaców dla wszystkich uczniów i wychowawców.

Jak już mówiłem Internat stanowił jedynie połowę moich zajęć. Drugą, równie ważną, była praca w szkole podstawowej.

Na trzy dni przed nowym rokiem szkolnym, zgłosiłem się do kierownika szkoły nr 28, Alojzego Golińskiego. Po usłyszeniu nazwiska stwierdził, że dostał z inspektoratu polecenie, aby mnie zatrudnić i przydzielił mi nauczanie początkowe w klasie 3. i 4. Wpadłem w popłoch i zacząłem się bronić:

– Przecież na studiach mieliśmy tylko dydaktykę nauczania historii w szkole średniej. O nauczaniu początkowym nie mam pojęcia!

– Pójdzie pan na dwutygodniowy kurs, który organizuje MODKO, to się pan dowie...

Moje przerażenie było jednak tak widoczne (nawet nie wiedziałem, co to jest to MODKO), że kierownik zaczął się wahać.

– No, to odłożmy ostateczną decyzję do jutra. Proszę przyjść jeszcze do mnie na kilka minut przed jutrzejszą konferencją rady pedagogicznej, na którą pana zapraszam.

Nazajutrz szedłem do niego w mocno podłym nastroju, który się jednak szybko rozwiął, ponieważ kierownik, zobaczywszy mnie powiedział:

– Przemyślałem sprawę. Do nauczania początkowego nie ma pan kwalifikacji. Będzie pan uczył historii i dla dopełnienia etatu jedną klasę języka polskiego. Liczę jednak, że będzie się pan starał o zgromadzenie pomocy naukowych, bo jak wiadomo trudno je dostać. O pieniądze proszę się nie martwić. Od tego jestem ja. I druga sprawa. Proszę, aby pan do mnie nie przychodził ze skargami na uczniów. Sprawy wychowawcze proszę rozwiązywać we własnym zakresie.

Słuchałem tych dyspozycji z uznaniem, a w miarę upływu czasu wspominałem je z coraz większym podziwem. Był to mój jedyny szef w życiu, który nie stawiał mi ograniczeń w sensownych wydatkach. Uznanie budzi też drugie polecenie, bo przecież jeśli nauczyciel zwraca się o pomoc wychowawczą do zwierzchnika, to wykazuje własną niekompetencję i obniża swój autorytet wobec uczniów. Z półwiecznej perspektywy oceniam, że był to jeden z najlepszych, a może najlepszy szef, jakiego miałem w życiu zawodowym.

W kilka minut po naszej rozmowie, znalazłem się w wypełnionym po brzegi pokoju nauczycielskim. Wokół ustawionych w prostokąt stołów stało



lub siedziało około 30 nauczycielek i 10 nauczycieli. Zażenowany stanąłem z boku, gdy podszedł do mnie postawny, lekko zgarbiony nauczyciel o śniadej cerze i wydatnym nosie, lat około 30 i zapytał obcesowo:

– Ktu ty jesteś?

Powiedziałem imię i nazwisko, historyk.

– Ja jestem Michał, uczę biologii.

Tak poznałem Mieczysława Finkelsztajna, chętniej używającego imienia Michał, z którym się najbardziej w tej szkole zaprzyjaźniłem.

Zebranie inauguracyjne rok szkolny trwało kilka godzin. Dowiedziałem się, że zastępcami kierownika Golińskiego jest Jan Przybylski – muzyk oraz Wanda Drews – matematyczka. Zostaliśmy też w kilka osób przedstawieni jako nowi. Obok mnie były to młode absolwentki bydgoskiego Liceum Pedagogicznego.

Dowiedziałem się też, że szkoła obliczona według projektu na sześciuset uczniów, liczyła w poprzednim roku ponad tysiąc, a w bieżącym, czyli 1957/1958, będzie ich miała około tysiąc trzystu, co wszyscy zebrani przyjęli przeciągłym jękiem. Okazało się jednak, że szkoła jest z gumy, bo w drugim roku mojej pracy tamże uczniów było już około 1600! Oczywiście, mimo przepełnienia klas, które liczyły przeważnie 40 uczniów, rosła też ilość „ciała pedagogicznego”. Nauka trwała pełne dwie zmiany. Dzięki życzliwości i zrozumieniu dyrekcji, ja miałem zajęcia jedynie przed południem.

Dowiedziałem się też, że klasy V-VIII są stosunkowo nieliczne (a, b, c), natomiast im niżej liczba dodatkowych liter się zwiększała. Klasa I miała oznaczenia, o ile pamiętam, od „a” do „j”, czyli było ich aż 10. Był to wynik rozwoju osiedla, w którym wciąż powstawały nowe bloki, gwałtownie wzrastającej liczby młodych małżeństw oraz kompensacji ograniczeń urodzeń dzieci w czasie wojny.

Po przydzieleniu wychowawstw mnie się trafiła po kimś klasa VI b. Po załatwieniu opiekuństwa różnych organizacji uczniowskich, kierownik przedstawił plan wychowawczy szkoły. Był to referat jeszcze w nieco dawnym stylu, co p. Golińskiemu sprawiało niejaki trudności. Czytając przydługie frazy, najwyraźniej skądś przepisane, co kilka zdań nieznacznie syczał między zębami. Po jakichś 10 minutach siedzący kilka krzeseł dalej Michał zwrócił się do mnie niespodziewanie z głośnym ni to pytaniem, ni to oświadczeniem:

– Ale tyż pieprzy, ale pieprzy, nu nie?

Myslałem, że się zapadnę pod ziemię! Dlaczego skierował to do mnie, co ja mam zrobić, jak się zachować, może kierownik pomyśli, że ja jestem z nim w zmwowie.

Tymczasem okazało się, że kierownik całkowicie zignorował ten ogólnie usłyszany pogląd, może nawet skrócił swój tekst, którym też się wyraźnie mę-

czył, a lekkie uśmiechy na twarzach niektórych osób świadczyły, że Michał mówił tak pewnie nie pierwszy raz. Sam sens wypowiedzi, a nawet jej forma, dość mi odpowiadała. Później dowiedziałem się, że Michał urodził się na Szwederowie i mieszkał nadal obok „Błoni Ułańskich”, gdzie przed wojną ćwiczyli kawalerzyści, a w latach 60. i 70. powstało osiedle Błonie.

Z reszty zebrania zapamiętałem punkt, gdy Rada Pedagogiczna przyjmowała uchwały o promowaniu lub nie poprawkowiczów, którzy po wakacjach zaliczali z różnym efektem braki w poszczególnych przedmiotach. Referowali to wychowawcy i prawie na każdym poziomie poszczególnych klas powtarzało się jedno nazwisko przyjmowane przeciągłym jękiem zebranych. Okazało się, że ojciec tych dzieci, niewykwalifikowany robotnik Zachemu, zdrowo popijał, ale wyprodukował ich aż sześcioro. Widocznie skłonności ojca odbiły się na możliwościach edukacyjnych tych dzieci. W efekcie Rada stawała bezradna: czy ich promować, czy zatrzymać na drugi rok w tej samej klasie. Wiadomo było, że to i tak nie przyniesie poprawy sytuacji.

Już nie pamiętam, czy przy tym nazwisku, czy innym, rozpoczęła się dłuższa dyskusja w sprawie promocji z języka polskiego. Kiedy okazało się, że nawet polonistka, p. Danuta Przybylska, nie wie, jaką podjąć decyzję, znów odezwał się głos Michała.

– Przecież on nawet „dupa” pisze przez er zet – co wywołało gromki wybuch śmiechu i przesądziło wyrok, niestety na niekorzyść delikwenta. Dziś dla dyslektyków i dysgrafów, a szczególnie nierobów, tolerancja jest dużo większa. Ich liczba, dysponująca odpowiednimi zaświadczeniami, dochodzi w niektórych klasach do 50% (!), a przedstawiciele tej „nowej mniejszości” dochodzą do najwyższych stanowisk w państwie.

Pierwszego września rozpoczął się rok szkolny. Wysłuchaliśmy przez radio krótkiego i wydawało mi się mądrego przemówienia nowego ministra oświaty Władysława Bieńkowskiego. Był to działacz komunistyczny, usunięty z władz w czasach stalinowskich wraz z Władysławem Gomułką za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”. W przeciwieństwie jednak do Gomułki i Spychalskiego, nie trafił do więzienia, lecz został odstawiony na boczny tor – do Biblioteki Narodowej. W okresie odwilży – jak zaczęto za Erenburgiem nazywać okres od śmierci Stalina do 20 zjazdu KPZR w marcu 1956 r. – czytałem kilka jego sensownych artykułów zamieszczonych w Nowej Kulturze. Zapamiętałem tytuł jednego z nich – „Księżycowa ekonomia” – dotyczący sytuacji w rolnictwie. Bieńkowski był też obok najbliższego współpracownika Gomułki – Zenona Kliszki – członkiem delegacji, która w Komańczy prowadziła rozmowy z kardynałem Stefanem Wyszyńskim, przed jego uwolnieniem i powrotem do Warszawy.

W. Bieńkowski przyczynił się do poważnej zmiany na lepsze w ówczesnej oświacie. Przede wszystkim doprowadził do podniesienia głodowych płac nauczycieli. Dzięki temu, jak pamiętam, dostawałem wtedy netto 1000 zł miesięcznie. Było to zresztą powodem zazdrości niektórych starszych stażem nauczycieli po liceach pedagogicznych, mających nawet po tej podwyżce mniej niż 1000 zł miesięcznie. Pamiętam dla porównania, że koszula popelinowa, czyli bardzo dobrej jakości, kosztowała mnie wtedy 120 zł, po kilku latach 160, tabliczka czekolady około 2,50 zł, kiełbasa zwyczajna kilkanaście złotych, pół litra zwykłej czystej ponad 20 zł. O tej kiełbasie mówiono często, że jest „robotniczo-chłopska”. To znaczy rano czerwona, wieczorem zielona.

Ówczesny wymiar zajęć nauczycielskich wynosił, aż do czasów pierwszej Solidarności 26 godzin tygodniowo w szkole podstawowej i 24 w szkole średniej. By mieć nieco więcej pieniędzy, nauczyciele brali chętnie tzw. nadgodziny. Moja sytuacja finansowa była od razu dużo lepsza, bo drugą pensję, też 1000 zł plus 10% za pracę w szkolnictwie zawodowym, dostawałem w Internacie. Mimo to nadmiaru pieniędzy nie odczuwałem. W kilka lat później śpiewałem razem z innymi jedną z pierwszych piosenek Agnieszki Osieckiej „Okularnicy”:

„Potem wiązą koniec z końcem  
Za te polskie dwa tysiące...”

Moim największym zakupem w tym roku było kupno sztytego na miarę, czarnego garnituru z najlepszej bielskiej wełny. W ubraniu tym w kilka lat później wystąpiłem na swoim ślubie, co świadczy z jednej strony o bardzo dobrej jakości ówczesnych materiałów oraz o tym, że zbytnio się nie przejadałem, utrzymując bez żadnych zabiegów z mojej strony młodzieńczą sylwetkę.

Drugą poważną zmianą w ówczesnym szkolnictwie była wymiana podręczników, z których usunięto najbardziej wredne wtręty propagandowe, np. zdanie w podręczniku matematyki: „Jeśli zbiory zbóż z hektara w PGR są dwa razy wyższe niż u chłopów indywidualnych, to...” itd.

Na mocy porozumienia z episkopatem do szkół (z wyjątkiem liceów pedagogicznych) wróciła nauka religii. Niestety w szkole 28 katecheta, niedoszły ksiądz, był nauczycielem mocno miernym. Aby skończyć to zagadnienie powiem, że kilka lat później grupa Gomułki umocniwszy się u władzy rozpoczęła kolejną akcję usuwania religii, zobowiązując do tego terenowe władze partyjne i administracyjne. Wyglądało to w ten sposób, że poszczególne szkoły „spontanicznie i dobrowolnie rezygnowały z nauczania religii. W efekcie powstała ogólnopolska sieć lekcji religii przy parafiach, które reprezentowały na ogół wysoki poziom, szczególnie wychowawczy. Dziś, gdy rząd Platformy



Obywatelskiej i PSL zarządził przesunięcie płatności za lekcje religii na samorządy, widzę w tym kontynuację najgorszych tendencji władz Polski Ludowej.

Początkowo nauczanie nie szło mi najlepiej. Jeszcze historia, jako tako, ale języka polskiego uczyłem – we własnej ocenie – źle. Dlatego poprosiłem, bym mógł uczestniczyć w paru lekcjach Danuty Przybylskiej – jak mogłem się przekonać – wybitnej nauczycielki. Pani Danuta – żona Jana Przybylskiego – ukończyła później zaocznie filologię polską i przez długie lata z sukcesem kierowała Liceum Ogólnokształcącym na Błoniu. Podpatrzenie sposobu realizacji przez nią zarówno – nazwijmy tak – „literackich”, jak i „gramatycznych” oraz rozmowy z nią, spowodowały, że lekcje polskiego realizowałem nieco lepiej, chociaż z ulgą zrezygnowałem z nich w roku następnym. Wzrosła wtedy liczba starszych klas i historii starczyło już na pełny etat.

Również i w historii miałem początkowo trudności. Po pierwszej mojej lekcji, a raczej pseudouniwersyteckim wykładzie z historii starożytnej, uczniowie klasy piątej wyszli na przerwę jacyś oświadczyli, jakby ich ktoś zbił po głowie, nie przyłączając się nawet do rozwrzeszczanej masy kłębiących się na korytarzu kolegów. Już po tygodniu zrozumiałem, że muszę zmienić sposób mówienia na bardziej obrazowy (dziś bym powiedział: narracyjny). Starac się zainteresować omawianymi tematami, a nawet budzić stany emocjonalne. W przeciwnym razie uwaga siedzącej w niezbyt dużych salach czterdziestki rozpraszała się, uczniowie zaczynali rozmawiać lub się nudzić. Dlatego już przy trzecim czy czwartym temacie, gdy omawiałem starożytne Chiny, sporo uwagi poświęciłem produkcji jedwabiu, jego roli w rozwoju Chin oraz tzw. Jedwabnemu szlakowi prowadzącemu z Państwa Środka aż do Morza Śródziemnego. Potem nieopatrznie zapytałem, czym się żywią jedwabniki. Nikt nie wiedział. Po pytaniach naprowadzających jeden uczeń spod okna się zgłosił. Gdy go radośnie zachęciłem, powiedział:

– Proszę pana, wróbelek usiadł na parapecie.

Część uczniów zaczęła się śmiać, a ja wykazałem tyle przytomności, że nie zrugąłem go, też popatrzyłem na parapet i potwierdziłem spostrzeżenie ucznia. Potem wyjaśniłem, że w moim pytaniu chodziło o krzaki morwy. Dziś, z perspektywy pięćdziesięciolecia, oceniam to jako sygnał, że uczeń mnie po prostu lubił i chciał się tą ważną dla niego informacją ze mną podzielić. Myślę też nieskromnie, że moja ówczesna reakcja była właściwa i że nadaję się na pedagoga.

Od początku swej pracy uważałem, że rolą historyka jest nie tylko dostarczanie wiedzy o przeszłości, ale kształtowanie systemu wartości, postaw patriotycznych i ogólnie obywatelskich. W tym zakresie miałem różne doświadczenia.

Kiedyś mówiłem o jakichś smutnych sprawach i wydawało mi się, że klasa przyjęła to nie dość poważnie z wyjątkiem jednej uczennicy, która niemal płakała. Zaintrygowany tym, gdy wszyscy wychodzili na przerwę, zatrzymałem ją, pragnąc oględnie zapytać, co tak wpłynęło na jej wzruszenie. Tymczasem ona pierwsza zaczęła, mówiąc:

– Bardzo pana przepraszam, ale ja od kilku dni mam zapalenie spojówek, dlatego tak wyglądam.

I tak mój przypuszczalny tryumf pedagogiczny rozsypał się w pył. Bywało też inaczej. Gdy omawialiśmy w jednej z klas powstania XIX-wieczne, zauważyłem, że uczniowie zdecydowanie zaczęli się gorzej uczyć. Zrugąłem ich wtedy dość mocno. W czasie przerwy przyszła do mnie delegacja złożona z kilku najlepszych historyków i jeden z nich stanowczo i prawie ze łzami powiedział:

– Nie uczymy się i nie będziemy się dobrze uczyć, bo nasi ciągle przegrywają i przegrywają i my już tego nie możemy wytrzymać!

Wtedy zrozumiałem, że z uczuciami też nie można przesadzać i nastroje trzeba tonować. Natomiast uczyć dziś, tylko pod testy, to byłoby ponad moje siły.

Okazało się też, że muszę dokonać rewizji mojej wiedzy historycznej, szczególnie z historii nowożytnej i najnowszej. Na szczęście październik 1956 r. wpłynął też mocno na zmianę treści nauczania. Teraz wydano zupełnie przyzwoite podręczniki Gustawa Markowskiego do historii starożytnej, Wandy Hoszowskiej do historii Polski przedrozbiorowej i Henryka Sędziwego – historii nowożytnej. Czytając te podręczniki dla szkoły podstawowej (!), uprzytomniłem sobie jak skrzywiony obraz, szczególnie historii nowożytnej i najnowszej, otrzymaliśmy na studiach. Części elementów tej historii w ogóle na UMK w czasach stalinowskich nie omawiano. Prof. Łukaszewicz ze swoimi wykładami nie doszedł nawet do I wojny światowej. A wiedzę o czasach najnowszych otrzymywaliśmy według Krótkiego Kursu Historii WKP (b), z czym zapoznawał nas dr (potem doc.) Bogdan Głębowicz, zresztą jako człowiek całkiem sympatyczny.

Wymienione wyżej podręczniki były o klasę, nieprawda, o niebo lepsze pod względem merytorycznym, języka i opracowania dydaktycznego w porównaniu do propagandowej makulatury, z której uczono historii Polski w latach stalinowskich 1949-1956. Np. w stalinowskim podręczniku do historii Polski, pod redakcją Żanny Kormanowej, w rozdziale poświęconym pierwszej wojnie światowej Walentyna Najdus-Smolar, wychwalając internacjonalizm Róży Luksemburg – mimo że pochodzącej z Zamościa – wroga wolności Polski, pisała równoległe o Józefie Piłsudskim jako „jawnym pachołku niemiec-

kiego imperializmu” (s. 251). Przypomniało mi się to po 60 latach, gdy obecnie jej syn, prof. Aleksander Smolar, jako szef fundacji Batorego, ucząc „demokracji” kolejne pokolenie Polaków, propaguje zalety kosmopolityzmu. Czy te rody antypolskie mają monopol na wychowanie, czytaj deprawację, narodu?

Pojawiły się też materiały wspomnieniowe, np. praca zrehabilitowanego w ZSRR marszałka Tuchaczewskiego o 1920 r. Nie wiedziałem wtedy, że w latach 20. wydano go już w Polsce równoległe z książką J. Piłsudskiego o wojnie polsko-bolszewickiej. W PRL wydano Tuchaczewskiego, ale Piłsudski nadal był na indeksie, w podręcznikach pisano już o nim względnie obiektywnie, chociaż pomniejszając jego znaczenie.

Ukazały się również (rewelacja!) wspomnienia D. Eisenhowera „Krucjata w Europie”, a nawet H. Guderiana „Wspomnienia żołnierza”, w których natknąłem kilka tajemniczych zdań o tym, że lotnicy i czołgiści niemieccy mogli, w okresie republiki weimarskiej, doskonalić swe umiejętności w „innym państwie”.

Dopiero po parunastu dalszych latach, w końcu lat 70., dotarło do mnie, że tę współpracę wojskową z Republiką Weimarską miał ZSRR. Gdy do władzy doszedł Hitler, ta współpraca przestała być Niemcom potrzebna. Od dwóch dopiero dziesięcioleci, powszechną wiedzą w polskim świecie historycznym jest to, że w trakcie umów rosyjsko-niemieckich w 1922 r. zawarto tajne porozumienie o współpracy wojskowej tych dwu państw. Główne ostrze tego porozumienia skierowane nie tyle przeciw Anglii i Francji, co raczej Polsce, która im przeszkadzała samym swym istnieniem. Ze strony niemieckiej podpisał to porozumienie minister Walther Rathenau, negujący istnienie niepodległej Polski. Przyjęcie w 2012 r. orderu jego imienia przez premiera III RP, Donalda Tuska, oceniam równie negatywnie, jak przyjmowanie przez polsko-stalinowskich generałów orderu Suworowa, słynnego z rzezi Pragi w 1794 r.

Miałem również braki w przygotowaniu metodycznym. Na szczęście dla nowo zatrudnionych nauczycieli Miejski Ośrodek Doskonalenia Kadr Oświatowych (czyli to nieznane mi wcześniej MODKO) zorganizował kilkunastogodzinny kurs, który mi się mocno przydał. Po połączeniu w jedno Ministerstwa Oświaty z Centralnym Urzędem Kształcenia Zawodowego utworzono wojewódzkie i powiatowe ośrodki metodyczne (WOM i POM). Do dziś uważam, że cykliczne kursy dokształcające dla czynnych nauczycieli są niezwykle potrzebne.

Wkrótce okazało się, że największą trudność w owym czasie w nauczaniu historii, ale nie tylko, stanowi brak pomocy/materiałów dydaktycznych. Postanowiłem zorganizować pracownię historyczną, ale nie bardzo wiedziałem jak.



W szkole oprócz typowej, zbyt małej sali gimnastycznej, były początkowo tylko dwie pracownie: prac ręcznych i gabinet przyrodniczy. Szczególnie okazały był ten drugi – królestwo Michała Finkelsztajna. Michał miał niedokończone studia biologiczne na UMK. Dlaczego ich nie ukończył – nigdy się nie zwierzał. Pracownia biologiczna, obszerna sala z dużymi oknami i zapleczem, była jego pasją. Wchodząc do niej, miało się wrażenie ogrodu botanicznego lub palmiarni. Szczególnie dużo było tu kwiatów polskich, europejskich i z innych części świata. Kwitły o różnych porach roku. Obok bluszcze, kaktusy, różne krzewy. Wśród nich Michał rozmieścił spore klatki z ptakami oraz budki dla królika, jeża i żółwia. Były też ryby w akwarium i coś tam jeszcze. Jak się to wszystko zmieściło, zważywszy, że gros miejsca zajmowały stoły i krzesła uczniowskie, trudno pojąć.

Oczywiście, gospodarstwo to wymagało starannej obsługi. Michał radził sobie z tym doskonale. Były dwie kategorie uczniów tym zajęte: pasjonaci oraz „dranie”. Pasjonaci, wiadomo, sami garnęli się, by podlewać, przycinać i karmić. Specjalnością Michała było też zatrudnianie „za karę”. Szczególnie za szkolne nieobecności i brak wiedzy. Nie zatrudniał jedynie za brak uwagi, bo takich uczniów na ciekawych i dowcipnych lekcjach z biologii, po prostu nie było. Zanim obibok się zorientował, sprzątanie klatki królika, karmienie i obserwacja jego zachowań tak go wciągały, że z kategorii drani szybko przechodził do pasjonatów.

Zapamiętałem jedną z takich historii. W ostatniej, siódmej klasie, „zimował” przerośnięty chłopak, którego wszyscy zwali Czechem. Jak to drugoroczny, często wagarował. Gdy już przyszedł, często się nudził i zgłaszał się chętnie jedynie wtedy, gdy do szkoły przywożono węgiel i trzeba było pomóc palaczowi jak najszybciej przerzucić go do kotłowni. Wyglądało na to, że znów szkoły nie ukończy. Byłem świadkiem, gdy kiedyś zaczepił go na korytarzu Michał.

– Słyszałem, Czechu, że byłeś wczoraj zamiast w szkole na rybach, jak ci brały?

Czechu dał się złapać i zaczął opowiadać. Ponieważ rozległ się dzwonek, już wchodząc do klasy widziałem, jak obydwaj nadal dyskutują, rozkładając ręce na oznaczenie wielkości złowionych ryb. W czasie dużej przerwy, przy wspólnym śniadaniu, dowiedziałem się, że Michał poddał w wątpliwość sukcesy rybackie Czecha i umówili się na wspólną wieczorno-rzeczną wyprawę. Zdaję się, że tych eskapad połączonych z kumplowskimi rozmowami było kilka. Kto okazał się lepszym rybakim, nie wiem, ale Michał z pewnością „złowił” dzieciaka. Czech zaczął się lepiej uczyć, ukończył szkołę i poszedł do zawodówki. Gdy go po latach przypadkowo spotkałem, sprawiał wrażenie rzetelnego pracownika i człowieka.

Wzorem Michała postanowiłem i ja taką pracownię założyć. Kierownik Goliński zapalił się do takiego projektu. Przydzielił mi salę szkolną, niestety bez zaplecza, zamówił gabloty oraz płyty pilśniowe na ścianę. Ja miałem się zająć wyposażeniem merytorycznym. Z tym był problem. Jak wiadomo, immanentną cechą socjalizmu była, jak to później określił jeden z naukowców, „ekonomia niedoborów”. Przypomniał mi się nieco późniejszy dowcip na ten temat: „Co będzie, gdy na Saharze zwycięży socjalizm? Za parę lat zabraknie piasku”.

Dotyczyło to i pomocy dydaktycznych, czy jak to wtedy określano, pomocy naukowych. Kupowałem każdą mapę ścienną, jaka się ukazała, ale było ich mało. Pojawił się też pierwszy atlas historii Polski opracowany przez PPWK we Wrocławiu, który przejął tradycje lwowskiej oficyny Książnica – Atlas.

Początkowo najwięcej korzystałem z ilustracji Płomyka. Było to pismo dla starszej młodzieży. Dla młodszych dzieci wydawano Płomyczek, dla jeszcze młodszych Świerszczyk, a dla przedszkolnych Miś. To był naprawdę przemyślany system wdrażania młodych do czytelnictwa. Płomyk zamieszczał wtedy dużo popularnych artykułów o bohaterach historycznych, bogato i kolorowo ilustrowanych. Te ilustracje stały się materiałem, tematycznie grupowanym na pilśniowych tablicach ściennych, a także wykorzystywanym jako materiał do projekcji obrazów na ekran ścienny. W ciągu roku, dzięki obiecanemu wsparciu finansowemu kierownika Golińskiego, pracownia wzbogaciła się o zasłony na okna, duży epidiaskop – urządzenie do projekcji przezroczy (dia), jak i obrazów odbitych (epi) podkładanych pod aparat na specjalnej płycie. Najpóźniej dostałem 16-milimetrowy filmowy aparat projekcyjny. Aby go wykorzystywać przeszedłem kilkugodzinny kurs w Filmosie. Była to instytucja gromadząca i wypożyczająca szkołom filmy dydaktyczne i dokumentalne. Kierował nią człowiek wysokiej kultury i kompletny fanatyk filmów we wszystkich postaciach – p. Bukolt. Filmos mieścił się najpierw na ulicy Buczka (obecnie A. Czartoryskiego), a następnie na ulicy Toruńskiej, niedaleko zbudowanej wtedy, a dziś już nieistniejącej stacji benzynowej. Niestety, ilość i jakość techniczna i merytoryczna filmów historycznych była wtedy niska, ale budziła u uczniów duże zainteresowanie problematyką przeszłości.

Najwolniej zapełniały się gabloty z okazami historycznymi. Kiedyś wspominałem we wszystkich klasach, że można przypadkowo natrafić na zabytek historyczny i nie należy go wtedy niszczyć, tylko przekazać muzeum lub do szkoły. Nie minęło wiele czasu, gdy uczeń VI klasy, której byłem wychowawcą, Salvatore Lembo (z polsko-włoskiej rodziny) przyniósł mi stary gamek. Od razu było widać, że to prehistoryczna urna grobowa.

– Tatusi ją znalazł wczoraj przy kopaniu fundamentów pod nasz dom w Brdujściu. Jest tam ich jeszcze kilka.

Zwróciłem się do niego, by poprosił ojca, aby na kilka dni przerwał prace, a sam natychmiast zadzwoniłem do działu archeologicznego bydgoskiego muzeum. Już po kilku godzinach przyjechał na motocyklu marki Jawa (wtedy obiekt zazdrości wielu młodych) pracownik tegoż działu, mgr Podemski. Po bliższych informacjach trafił też na budowę. Od tego czasu przez ponad 20 lat trwała nasza sympatyczna znajomość. Dostaliśmy w latach 70. mieszkania w sąsiednich blokach na Bartodziejach i przyjazną znajomość zawarły także i nasze żony.

Okazało się, że w okolicach ulicy Łowickiej, gdzie powstawały sposobem gospodarczym pierwsze powojenne, prywatne domki jednorodzinne, było spore cmentarzysko kultury łużyckiej, które dzięki temu sygnałowi udało się przebadać bydgoskim archeologom.

W podzięce otrzymaliśmy „wybrakowaną” urnę, ręcznie lepioną, kilka glinianych i kościanych narzędzi oraz dużą, kościaną igłę, dobrze zachowaną. Zbiory wzbogaciła też siekierka kamienna znaleziona przez jednego z ojców. Okazy te świetnie urozmaiciły niektóre lekcje, np. uczniowie opuszkami palców sprawdzali różnice między garnkiem lepionym z przygotowanego wcześniej przez prahistorycznych przodków długiego wałka gliny, który następnie wygładzali, a jednolitą ścianką naczynia wyrobionego na kole garncarskim. Wynalezienie koła garncarskiego spowodowało kiedyś ogromny postęp kulturowy.

Równie zabawne było nawlekanie grubej nici do uszka kościanej igły oraz próby zszywania nią dwóch kawałków materiału. Okazało się, że zszywanie jest tylko możliwe tylko w przypadku luźnej tkaniny lnianej, której kawałek też dostaliśmy. Te praktyczne próby spotkały się z dużym zainteresowaniem uczniów.

Liczba eksponatów rosła. Ktoś przyniósł starą szablę, ktoś hełm, inny stare pieniądze, ale gdy wreszcie pojawił się zardzewiały poniemiecki pistolet maszynowy, ogarnął mnie strach. Musiałem we wszystkich klasach oznajmić, aby nie próbowano przynosić, ani nawet dotykać pozostałości niedawnej wojny, tylko od razu zgłaszać znaleziska milicji. Uczuliłem, że szczególnie groźne mogą być niewypały (obecnie mówi się niewybuchy) w postaci granatów i bomb. Chyba to poskutkowało, ponieważ nie doszło do żadnych wypadków. Wkrótce w każdej klasie przychodzącej do pracowni spontanicznie powstały kilkusobowe zespoły, które zawieszały mapy, zasłaniały w razie potrzeby okna, przygotowywały do pracy epidiaskop lub projektor filmowy.

W trakcie drugiego roku pracy pojawiła się w szkole inspekcja złożona nie tylko z wizytatora miejskiego mgra Grotha (polonisty), ale i przedstawiciela kuratorium w Toruniu (Wprawdzie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, czyli po dzisiejszemu Urząd Wojewódzki, mieściło się w Bydgoszczy, ale



Kuratorium, czyli Wydział Oświaty, na otarcie łez pozostawiono w przedwojennym wojewódzkim Toruniu. Kuratorium przeniesiono do Bydgoszczy w latach 60., powodując tym dalsze zaognienie stosunków między obu miastami).

Wpadając na ostatnią chwilę do szkoły, po rannym dyżurze w Internacie, na korytarzu natknąłem się na kierownika Golińskiego, który wychodził właśnie z kancelarii z nieznanymi mi wtedy wizytatorami, i z lekkim zdenerwowaniem oświadczył mi:

– Właśnie wybieramy się do pana na lekcje.

Ogarnęło mnie przerażenie. Zajęty wcześniej innymi sprawami w Internacie, w tym momencie nie wiedziałem, jaki temat mam za chwilę omawiać. Szeptem zaproponowałem, aby kierownik zabrał ich do kogo innego, bo ja do lekcji nie jestem przygotowany. Kierownik zbladł i stwierdził:

– Już jest za późno.

Doszliśmy do pracowni. Po otwarciu drzwi, zobaczyłem że oczekująca klasa już zasłoniła okna, a epidiaskop był przygotowany do pracy. W tym momencie mnie olśniło. Okazało się, że na poprzedniej lekcji omawiałem najazd szwedzki. Temat okazał się tak obszerny i frapujący (szczególnie obrona Częstochowy), że na omówienie działań Czarnieckiego, który był główną osią i bohaterem tego tematu, po prostu nie starczyło czasu. Dlatego zapowiedziałem uczniom, że jeszcze poświęcimy mu kolejną lekcję. Teraz mogłem omówić rozwój myśli wojskowej Czarnieckiego, jego „wojnę szarpaną” jako sposób na pokonanie lepiej wyszkolonego i technicznie wyposażonego, a jednocześnie bezwzględного i okrutnego przeciwnika, zasady ówczesnej walki piechoty i jazdy (z demonstracją posiadanej szabli jako broni białej). Następnie odczytałem im fragment pamiętników Paska o zdobyciu wpływ wyspy Alsen, starając się od razu zastępować wyrażenia łacińskie polskimi. Uczniom szczególnie podobał się opis żołnierzy po zwycięskiej bitwie, gdy mokrzy i zmarznięci wskakiwali w zdobytych wsiach pod pierzyny i tylko „trzęśły im się zamarzniete wasy i brody”, bo przecież całe wydarzenie miało miejsce w grudniu.

Na zakończenie lekcji odbyliśmy krótką dyskusję, dlaczego Czarniecki dopiero pod koniec życia otrzymał awans na hetmana polnego. Ilustrowane to zostało wyświetlonym z episkopu obrazem „Śmierć Czarnieckiego” przedstawiającym izbę, w której umierał w otoczeniu towarzyszy broni i wiernego konia przyprowadzonego do łóżka konającego hetmana. Całą lekcję zakończyliśmy odśpiewaniem zwrotki hymnu jemu poświęconej.

Lekcję tę, jako naprawdę udaną, przypominał mi kilkakrotnie po latach, już w Wyższej Szkole Pedagogicznej, mój starszy kolega – wykładowca, a wtedy wizytator kuratorski. Ja też z perspektywy lat uważam ją za swój sukces.

Atmosfera pracy w tej szkole była naprawdę znakomita. Świetnie języka polskiego uczyła Danuta Przybylska, późniejsza, po zrobieniu zaocznie magisterium polonistycznego, dyrektorka liceum ogólnokształcącego na Błoniu. Bardzo wysoki poziom prezentowali matematycy – Wanda Drews, i zmarły przedwcześnie Jan Koziejka. Świetną pracownię geograficzną wraz z ogródkiem meteorologicznym zorganizowała pani Banach. Działała też doskonała pracownia fotograficzna i pracownia techniczna. Na omówieniu wizytacji inspektor Grott szczególnie chwalił ówczesną nauczycielkę nauczania początkowego, Janinę Majerską. Ta poważna, a jednocześnie dowcipna młoda pani, żona późniejszego dyrektora Przedsiębiorstwa Gazów Technicznych – inż. Majerskiego, ukończyła później zaocznie historię, potem pracowała w WOM-ie, następnie w Instytucie Kształcenia Nauczycieli. Byłem recenzentem jej pracy doktorskiej, a w latach 90. współpracowaliśmy w zakładzie dydaktyki historii Akademii Bydgoskiej. Inną dobrą nauczycielką nauczania początkowego była Elżbieta Banach. Z tą ostatnią nieco sympatyzowałem, będąc rywalem, o czym nie wiedziałem, mojego późniejszego kolegi z WSP i obecnie KPSW – doktorem Pawłem Prusakiem. Ela wybrała jednak trzeciego i została żoną inż. Chodakowskiego, wieloletniego później dyrektora Zakładów Ceramicznych w Fordonie. Podobnie jak wiele innych przedsiębiorstw upadły one niestety w czasie przemian w latach 90.

W drugim roku pracy, nie pamiętam, czy było to z okazji nowo utworzonego dnia nauczyciela, czy dopiero wiosną 1958 r., zostałem powiadomiony przez kier. Golińskiego, że mam zgłosić się do inspektora Majdzińskiego, by otrzymać nagrodę za osiągnięcia dydaktyczne, szczególnie za zorganizowanie pierwszej w Bydgoszczy pracowni historycznej.

Spotkanie miało charakter indywidualny. Inspektor wręczył mi w kopercie 1000 zł, czyli równowartość miesięcznej pensji, a potem zaprosił do stolika na kawę. Rozpoczęliśmy swobodną rozmowę, z której do dziś pamiętam, że mówiliśmy o przeciążeniu szkół ogromną liczbą dzieci. Ja wspomniałem, że w naszej szkole dzieci czekające na rozpoczęcie lekcji siedzą na podłodze korytarzy (były one wtedy wykładane drewnianym parkietem) tak gęsto, że w czasie przerw trudno się tymi korytarzami poruszać. Natomiast inspektor mówił o budowie kilku kolejnych szkół w ramach akcji „tysiąc szkół na tysiąclecie”. Wszyscy pracujący w Polsce zostali wtedy obciążeni 10% wzrostem podatku na rzecz budowy tych szkół.

Chcę stwierdzić, że nigdy nie spotkałem się, aby ktokolwiek z pracujących narzekał na ten niewątpliwie znaczny wzrost obciążenia. Wiele wad wytykamy sobie jako społeczeństwu, nie pamiętając o jego ogromnym entuzjazmie, kiedy to dawał ogromne sumy na odbudowę Warszawy, na budownic-

two szkolne, na doinwestowanie szpitali (orkiestra świątecznej pomocy), na pomoc biednym (Caritas). Przed wojną monumentalny budynek Ministerstwa Oświaty też został zbudowany w większości ze składek nauczycieli. To ewenement w skali światowej. Niestety odnoszę wrażenie, że społeczeństwo przez władze państwowe (niezależnie od jej pochodzenia) jest traktowane lekceważąco, chyba że zdesperowane zaczyna tej władzy dobierać się mocno do skóry. Tak to widzę za czasów PRL, jak i III RP.

Wróćmy do przebiegu rozmowy z inspektorem Majdzińskim. Z humorem wspomniął mi, że brak mu aktualnie 5 milionów złotych na rozpoczętą tyśiąclatkę na ulicy Koronowskiej, ale nie traci ducha i skądś te pieniądze wydobę. Rzeczywiście tyśiąclatka stoi, a z tyłu dobudowano, po 50 latach (jak ten czas leci), piękną salę (raczej halę) gimnastyczną i gmach dla gimnazjum. Myślę, że za pracę włożoną w rozwój oświaty w Bydgoszczy inspektor Majdziński powinien mieć swoją ulicę. Niestety nie ma jej, a zazdrośni podgryzaczki doprowadzili do tego, że pod koniec swojej pracy w latach 70. dostał pozorny awans na kierownika jednego z wydziałów kuratorium – już wtedy przeniesionego z Torunia do Bydgoszczy. Tam jego aktywność i rzetelność organizacyjna nie mogła już być w pełni wykorzystana.

Czas wreszcie powiedzieć, skąd w Szkole Podstawowej nr 28 mieliśmy pieniądze na te ponadprzeciętne wydatki dydaktyczne, bo oprócz wymienionych, działała pracownia geograficzno-meteorologiczna (organizator: pani Banach – starsza) oraz pracownia techniczna z wyodrębnioną częścią fotograficzną (ciemnia i obróbka zdjęć).

Zawdzięczaliśmy to inwencji kierownika Golińskiego, który umiejętnie dążył do integracji środowiska rodzicielskiego, świetnie współpracując z komitetem rodzicielskim. Z tej „kapuścińskiej” zbieraniny z różnych stron Polski, z zamieszkujących i mocno popijających mieszkańców hoteli robotniczych, zaczynały tworzyć się rodziny, pojawiać, i to w sporej ilości, dzieci, kształtować społeczeństwo lokalne.

Szkoła była centrum tych pozytywnych, choć trudno zauważalnych zmian. Nie mógł z nią współpracować Kościół, bo władze „za Gomułki” na nowych osiedlach budować ich nie pozwalały. Pierwszy taki kościół w Bydgoszczy, zbudowany siłami społecznymi, powstał dopiero za kolejnej odwilży „gierkowskiej” w latach 70. na osiedlu Glinki, naprzeciw zbudowanego w latach 50. szpitala miejskiego.

By przyspieszyć te przemiany integracyjne, a równocześnie wspomóc budżet szkolny, kierownik Goliński i komitet rodzicielski organizowali dla rodziców i nauczycieli „potańcówki”. Uczestnicy płacili 5 czy 10 złotych – już dokładnie nie pamiętam – co jednak dawało szkole każdorazowo kilkaset



złotych. Był też bufet, ale procentowe płyny przynosili uczestnicy indywidualnie. Do tańca przygrywał początkowo na harmonii kol. Przybylski, a później pojawiły się dwu-, trzyosobowe orkiestry. W czasie tych tanecznych spotkań następowało zarówno bliższe poznanie się mieszkańców Osiedla, jak i integracja rodziców ze szkołą oraz bliższe, nieoficjalne kontakty rodziców i nauczycieli.

Zapamiętałem jedno z takich zdarzeń. W pewnym momencie przysiadł się do mnie, nieco już zakropiony, ojciec tej szóstki, z którą w każdej klasie mieliśmy kłopoty. Chciał się poradzić, jak pomóc dzieciom. Miałem wtedy 22 lata i udzielanie rad ojcu sześciorga dzieci było dla mnie kompletnym zaskoczeniem, ale w końcu się zebrałem. Starając się go nie urazić, z oporami, uprzedzając, by się nie obraził, zaproponowałem:

– Po pierwsze, nie pić. Oczywiście jak jest impreza imieninowa czy taneczna, to tak, ale poza tym nie. Po drugie – to szło mi jeszcze gorzej – myślę, że sześcioro dzieci to na jedną rodzinę wystarczy. Przecież pan i żona macie wiele pracy i wydatków z tak liczną rodziną.

– Ale jak to zrobić?

Tu całkowicie się zmieszałem, jednak w końcu wydukałem:

– Są różne sposoby, aby nie zejść w ciążę, ale to by musiał pan z pielęgniarką lub lekarzem porozmawiać. (Była wtedy w szkole etatowa pielęgniarka i lekarz na godziny).

Mój rozmówca przyjął te uwagi z nadszpodziewanym szacunkiem.

– Pić przestaję, a to drugie też przemyślę.

Spotkałem go ponownie po kilku miesiącach, jadąc w niedzielę do miasta. W tramwaju było tylko kilka osób, a na tylnym pomoście chwiał się nieco mój dawniejszy rozmówca. Na mój widok na cały tramwaj krzyknął:

– Uszanowanie panu profesorowi!

Gdy do niego podszedłem, by go zmitygować, powiedział z właściwą pijakom wylewnością:

– Schlałem się.

– To widzę.

– Od tamtej zabawy się trzymałem, nie piłem, ale wczoraj żona mi powiedziała, że siódme w drodze. To co miałem zrobić?

Ten incydent stał się podstawą mojego pierwszego tekstu, który puścił mi w radio, serdeczny kolega z lat 1956-57, Kazio Kumor – redaktor w Polskim Radiu Bydgoszcz. Ten wkrótce ożenił się z piękną maturzystką Jolantą, a jeszcze później zniszczył swój pisarski talent i szczęście rodzinne, topiąc się bezsensownie w burzliwym Bałtyku.

Dam tu jeszcze opis dwu innych spotkań z rodzicami z mojej klasy.

Już po pierwszym tygodniu, ktoś mnie ostrzegł, że na pewno z pretensjami w sprawie syna zwróci się do mnie Mirosław Michałowski. Dowiedziałem się wtedy, że jest kierownikiem jednej z bydgoskich księgarni. W owym czasie trzeba było bardzo często pytać uczniów, bo były cztery okresy oceniania w ciągu roku szkolnego. To była istna męka. Niewiadomo dla kogo większa: czy dla uczniów, czy dla nauczycieli. Młodej latorośli pana Michałowskiego niestety zdarzyła się dwójka z historii i okazało się przy okazji, że uczeń jest w materii historycznej „tabula rasa”.

Już po kilku dniach pojawił się jego ojciec i po podaniu nazwiska rozpoczął na mnie frontalny atak. Na całe szczęście byłem ostrzeżony, dlatego zareagowałem spokojnie, proponując, by syn odbył ze mną kilka konsultacji w niedalekim Internacie. Okazało się wkrótce, że historia nie sprawia mu większych problemów i na okres dostał czwórkę. Wtedy pojawił się ponownie ojciec, tym razem bardzo grzeczny i próbował wręczyć mi zapłatę za odbyte konsultacje. Zrezygnował dopiero po zdecydowanej odmowie.

Natomiast na koniec roku, który syn ukończył jako mocny średniak także z innych przedmiotów, w imieniu ojca, przyniósł mi zamiast kwiatka książkę o Michale Aniele, świeżo wtedy wydaną, „Kamień i cierpienie”. Ten dar przyjąłem z zadowoleniem, bo moim hobby, zarówno w czasie studiów, jak i w całym życiu, była historia sztuki i architektury. Moje życzliwe kontakty z Mirosławem Michałowskim i jego żoną – też pracowniczką księgarni, trwały następnie przez lata, szczególnie, gdy był dyrektorem Księgarni Współczesnej, na ówczesnej ulicy I Maja nr..., a ja jej wiernym klientem. W latach 70. była to jedna z największych, najbardziej nowoczesnych i opiniotwórczych księgarni w Polsce. W latach 80. nasze drogi się rozeszły, bo księgarnia zaczęła zapraszać na spotkania twórców zdecydowanie związanych z władzą stanu wojennego, ale klientem byłem nadal. Ostateczny cios Współczesnej, zajmującej parter i pierwsze piętro kamienicy już wtedy ponownie przy ulicy Gdańskiej, zadała gospodarka wolnorynkowa. Właściciel kamienicy tak podniósł czynsz, a ludzie mieli coraz mniej pieniędzy na zakup książek, że księgarnia padła.

Trzecie spotkanie o którym chce wspomnieć, miałem z matką Salvatora Lemba. Już wcześniej dowiedziałem się od syna, gdy spytałem, skąd ma tak piękne imię „Zbawiciel”, że jego mama jest Polką, a ojciec Włochem. W tamtych czasach takie mieszane małżeństwa były rzadkością. Ponieważ później podziękowałem im, że dali znać o odkryciu urn grobowych, nasza znajomość się pogłębiła i w drugim roku mojej pracy państwo Lembowie zaprosili mnie do już częściowo wykończonego domku, obok ulicy Łowickiej, gdzie wysiłkiem i pomysłowością budujących powstawało kilkanaście jednopiętrowych

sześcianów. Strome dachy na domach jednorodzinnych, nie wiadomo dlaczego, były w owym czasie zakazane.

W czasie dłuższej, serdecznej wizyty dowiedziałem się nieco o ich losach. Okazało się, że pan Lembo w 1943 r., w momencie wyjścia Włoch z wojny jako sojusznika III Rzeszy, został, razem z innymi żołnierzami walczącymi na froncie wschodnim, uznany za jeńca wojennego i skierowany do niewolniczej pracy w bydgoskich zakładach chemicznych. Tu, przez druty, zapoznał się z młodą bydgoską dziewczyną, pracującą na zasadach przymusowo-wolnościowych w tychże zakładach. Dziewczyna ta podrzucała mu od czasu do czasu trochę żywności, sama cierpiąc jej braki, ale widok zagłodzonych jeńców, a szczególnie tego wybranego, zmuszał, by się tą posiadaną resztą dzielić.

Po wyzwoleniu w styczniu 1945 r. do drzwi domu jej rodziców zapukał ten jeńiec i oświadczył, że zostaje, a rodziców prosi o rękę córki. Małżeństwo mieszkalo najpierw z teściami, a mąż zaczął pracować w wyuczonym fachu – remoncie aparatów rentgenowskich, co przy szalejącej powojennej gruźlicy było zawodem mocno poszukiwanym. Wkrótce na świat przyszedł potomek, któremu dano piękne włoskie imię Salvatore (Zbawiciel), co w polskiej kulturze, podobnie jak hiszpański Jesus ('Chezus') nikomu by nie przyszło do głowy.

Ponieważ jednak warunki w Polsce były ciężkie, a tęsknota ojca za rodziną Sycylią duża, uzyskali po licznych staraniach możliwość wyjazdu. Niestety synowa nie bardzo umiała się wkomponować w dyktatorsko kierowaną przez teściową (Mamma mia!) atmosferę sycylijskiej rodziny i po paru latach wrócili do Polski. Było to przez władze dobrze przyjęte, bo w czasach stalinowskich wielu chciało raczej z Polski uciekać niż do niej przyjeżdżać.

Ciąg dalszy moich kontaktów z tą rodziną zintensyfikował się pod koniec drugiego roku mojej szkolnej pracy. W ramach ówczesnego nowatorstwa pedagogicznego część wywiadówek odbywała się nie wspólnie, lecz indywidualnie. Na takie spotkanie przyszła też pani Lembo. Salvator był dobrym uczniem, a szczególnie lubił historię. Ja też go lubiłem, bo i był chłopcem inteligentnym i sympatycznie ruchliwym. Trochę się tylko skarżyły koleżanki, twierdząc, że je zaczepia. Widocznie działał tu południowy temperament i przyspieszony tamże rozwój biologiczny. Tak też przedstawiłem sytuację mamie. Ta w pełni przyjęła moje pozytywne uwagi oraz lekkie zastrzeżenia i żegnając się wyjęła z torby potężny baleron o niebiańskim zapachu. Widać, że był domowej roboty.

Rozpoczęło się kilkuminutowe przepychanie, bo ja poczytałem to za łapówkę. Rozbroiło mnie w końcu oświadczenie.

– Proszę wziąć, bo przecież mój syn dobrze się uczy i nie jest to forma przekupstwa, a pan tak źle wygląda...



Postanowiłem zakończyć spór, włożyłem baleron do biurka z przekonaniem, że nazajutrz oddam go synowi. Po konsultacjach z rodzicami wróciłem akurat na wieczorny, kolacyjny dyżur w Internacie. Właśnie się trafiły te wyjątkowo słabe, dwudekagramowe smalcowe porcje. Wtedy nieopatrznie powiedziałem o leżącym w moim biurku baleronie i o tym, że jutro go oddam.

Kolegom rozbłyły oczy. Najpierw bardzo nisko ocenili mój poziom inteligencji, a następnie rozdzielili zadania: jeden do końca dyżuruje, po czym przynosi do pokoju bochenek chleba, drugi eskortuje mnie do szkoły po baleron, trzeci biegnie do sklepu, by zdążyć przed zamknięciem i kupić pół litra. Ten wieczór brydżowy był jednym z najbardziej udanych, a ja straciłem swą pedagogiczną „cnotę”.

Mimo tak intensywnie wypełnionych dni (w ciągu tygodnia miałem tylko jeden dzień wolny) myślałem z coraz większym niepokojem o swojej przyszłości. Wprawdzie ukończyłem studia, mając lat dwadzieścia, ale w drugim roku pracy szkolno-internatowej zacząłem się zbliżać do lat dwudziestu trzech, a planu życiowego, po załamaniu się sprawy mojej asystentury, nadal nie miałem. Któregoś dnia Władek Skibicki, wychowawca na trzecim piętrze, studiujący zaocznie historię, poinformował mnie, że do Bydgoszczy przyjeżdża profesor Łukaszewicz, jego adiunkt dr Bolesław Danilczuk i kilku doktorantów, by mówić w Ośrodku Propagandy Partyjnej o historii ruchu robotniczego w okresie międzywojennym na Pomorzu. Postanowiliśmy się wybrać na to spotkanie.

Przybysze wygłosili kilka dość nudnych referatów – prof. Łukaszewicz był dobrym organizatorem, ale kiepskim mówcą. W czasie przerwy podszedłem do niego i zapytałem, czy mogę uczestniczyć w jego seminariach doktorskich. Wyraził zgodę i wiosną 1959 r. trzykrotnie jeździłem na nie do Torunia. Tam poznałem mgra Leona Kiewisza, ówczesnego nauczyciela historii w bydgoskim Liceum Pedagogicznym. Pisał pracę doktorską na temat tzw. Ostlandu (teren przyszłych państw bałtyckich) w czasie I wojny światowej. Był poliglotą. Oprócz pięknej polszczyzny znał świetnie język łotewski (przed wojną kończył polskie gimnazjum w Daugavpils – Dyneburgu), litewski, angielski i niemiecki. Po wojnie studiował historię w Toruniu. W czasie seminarium i kolejnych podróży do Bydgoszczy poznaliśmy się bliżej, przy czym z jego strony była to elegancka, nieco staroświecka w formie, życzliwość, a z mojej strony szacunek dla wiedzy i kultury starszego o około 20 lat kolegi.

W czerwcu, po ostatnim przedwakacyjnym spotkaniu toruńskim, p. Kiewisz zwrócił się do mnie z niespodziewaną propozycją.

– Przechodzę po wakacjach do pracy w Studium Nauczycielskim. Czy zechciałby kolega (tak się to wtedy jeszcze w sferach inteligenckich mówiło) objąć po mnie zajęcia w Liceum Pedagogicznym?

Była to dla mnie nieoczekiwana, ale niezwykle przyjemna propozycja. Gdy wyraziłem zgodę, powiedział:

– W takim razie porozmawiam z dyrektorem szkoły i proszę czekać w ciągu tygodnia na telefon w tej sprawie.

Był to dla mnie niezwykle nerwowy tydzień, tym bardziej, że w tym tygodniu musiałem klasyfikować uczniów i wystawiać w swojej klasie świadectwa ukończenia szkoły (klasa siódma). W kilka dni później mgr Kiewisz zadzwonił, mówiąc, że umówił mnie na rozmowę wstępną z dyrektorem liceum.

Szedłem na tę rozmowę mocno podniecony. Najpierw jak wyglądała podróż: z Kapuścisk tramwajem na pętlę przy Babiej Wsi. Tam przesiadka na kolejny tramwaj do Zbożowego Rynku, gdzie wsiadłem w autobus, którym był pierwszy model SAN-a, przypominający większą ciężarówkę przykrytą blaszaną pokrywą. Wąskimi Wałami Jagiellońskimi (Zbożowy Rynek od zachodu był zamknięty kamienicą, którą potem zburzono, by utworzyć do Nowego Rynku ulicę dwupasmową o dzisiejszym wyglądzie) dojeżdżało się do Placu Poznańskiego. Był on wyłożony kamieniem polnym („kocimi łbami”) i był bardziej stromy niż obecnie. Dopiero w latach 70. podniesiono jego powierzchnię od pierzei północnej, a na stronie wschodniej zburzono dużą kamienicę (ze względnie zaopatrzonym sklepem mięsnym), aby utworzyć dwujezdniowy dojazd do poszerzonej wtedy ulicy grudziądzkiej. W ten sposób powstał układ jezdny w kierunku zachodnim ulicą Poznańską i w kierunku wschodnim ulicą Grudziądzką.

Autobus w latach 60. zaczął kursować już na budowane wtedy osiedle Błonie, a ulicę Szubińską poszerzono do dwu pasm. Ulica Kruszwicka, z wąskiej uliczki poprzednio, została zmieniona na kształt obecny dopiero w latach 80.

Również autobusy w latach 60. się zmieniły. Najpierw pojawiła się nowa generacja SAN-ów mieszcząca w ludzkich warunkach około 50 pasażerów, a potem w latach 70. autobusy Skoda, zwane od obłego kształtu ogórkami. Również w tamtych latach zmieniła się generacja tramwajów, służących do chwili obecnej. Zapowiedzią zmian są dopiero tramwaje firmy Pesa.

Wróćmy do 1959 r. Ulicą Seminarijną, wtedy też wybrukowaną kamieniami polnymi, obok Szpitala płucno chorych, doszedłem do gmachu Liceum Pedagogicznego, dawniej Seminarium Nauczycielskiego. Całość była oddzielona od ulicy eleganckim płotem na ceglanej podmurówce. Za płotem piękny żywopłot z alejkami i reprezentacyjne ciężkie wejście. Na parterze mieściła się szkoła ćwiczeń, a piętra zajmowało Liceum.

W gabinecie na końcu pierwszego piętra przyjął mnie ówczesny dyrektor, mgr Wawrzyniec Kolibabka. Tak sobie od razu pomyślałem, że z tym nazwiskiem musiał mieć w życiu, a szczególnie w młodości, dużo kłopotów.

Był to człowiek po pięćdziesiątce z uczciwą twarzą, dość małowówny. Przyglądał mi się uważnie i z pewnym dystansem. W prawdzie byłem starannie ubrany, z krótko przyciętymi włosami, ale mój wiek – 23 lata – na nauczyciela zakładu kształcenia nauczycieli, jakoś mu nie pasował. Po dziesięciominutowej rozmowie oświadczył, że ostateczną odpowiedź da mi telefonicznie. Znow czekałem. Wreszcie po paru dniach wiadomość: tak, zostałem zatrudniony i mam się zgłosić do pracy po 20 sierpnia. Myślę, że na ostateczną decyzję wpłynął p. Kiewisz.

W ten sposób zakończył się mój dwuletni okres pracy na osiedlu Kapuściska i rozpoczął pięcioletni czas nauczania w Liceum Pedagogicznym. Pożegnania wypadły smutno. Po zakończeniu roku szkolnego pożegnałem się z żalem z kierownikiem Golińskim i kolegami ze szkoły 28. Stanowiliśmy tam zwarty i chyba udany zespół. Okazało się, że odchodzi też Michał Finkelsztajn, którego milicja zwerbowała na kierownika izby dziecka na ulicy Chodkiewicza. W owych czasach milicjanci zarabiali przynajmniej dwa razy więcej niż nauczyciele. Po kilku latach odeszli też Jan i Danuta Przybylscy. Awans otrzymał także Alojzy Goliński, obejmując dyrekturę zasadniczej szkoły zawodowej na ulicy Świętojańskiej. Odszedł jeszcze jeden z nauczycieli i szkoła stała się zdecydowanym „babińcem”, co w żadnym zawodzie nie jest wskazane. Nowy minister Tułodziecki zakazał zabaw tanecznych w szkołach, co zmniejszyło dopływ środków na pracę dydaktyczną i wychowawczą. Podobno zaczęły się w gronie pedagogicznym jakieś niesnaski i kłótnie. Szkoła straciła swój nowatorski poziom.

W Internacie serdecznie żegnałem się z Józkiem Jętczakiem, później inżynierem i dyrektorem szkoły, oraz Władkiem Skibickim, który ukończywszy historię, przeniósł się do szkoły na ulicy Buczka (obecnie Czartoryskiego), gdzie wkrótce został dyrektorem. Stamtąd dostał awans na jednego z inspektorów szkolnych. Spotykaliśmy się później kilkakrotnie, razem z jego sympatyczną żoną, też nauczycielką. Jego dwaj synowie w młodości razem z moją córką jeździli na łyżwach na Torbydzie, a jedne wakacje spędzili razem, zbierając winogrona na Węgrzech. Ostatni raz widzieliśmy się w latach 90. na spektaklu teatralnym „Jasełek polskich” Lucjana Rydla. Wyglądał świetnie, pytał, jak się czuję ze sztuczną zastawką serca. W kilka miesięcy później zmarł na zawał, a ja się ciągle turlam, być może po to, by te bydgoskie wspomnienia utrwalić.

Kilka słów o wakacjach. Część czasu spędzałem z rodzicami mieszkającymi we wsi Zgliczyn nad Wkrą, w powiecie Żuromińskim, ale to temat na inne wspomnienia. Część jednak starałem się spędzić poza domem. Po pierwszym roku pracy szkolnej postanowiłem pojechać na dwutygodniowy spływ kajakowy PTTK z Sorkwit do Pisu, czyli śladem Wańkowicza i jego córki,



opisanej w książce „Na tropach Smętka”. Przewodnikiem grupy był około czterdziestoletni warszawiak – powstaniec. Świetnie pływał, również kajakiem. Trasę miał opanowaną do perfekcji. Załogi kajaków były przeważnie mieszane. Ja płynąłem z młodą, sympatyczną urzędniczką z Chełmna, już wtedy fanatyczną wielbicielką wędrówek kajakowych. W swym gronie mieliśmy też prawie 50-letnie małżeństwo, co większości z nas wydawało się niesłychaną fanaberią. Dziś płynąją także ludzie po siedemdziesiątce. Okazało się, że małżeństwo jest w pełni sił i humoru. Pamiętam, jak przy ognisku koło miejscowości Zgon oświadczyli nagle, że się rozwodzą, bo obiecywali sobie wierność małżeńską „tylko do zgonu”. Mieliśmy też spotkanie z jedną z pierwszych powojennych grup enerdowskich, co opisałem w opowiadaniu „Początki trudnego pojednania”.

Najbardziej utkwiło mi w pamięci spotkanie z dwiema Mazurkami na przystani w Krutyni. Mówiły gwarą mazurską, a w pewnym momencie jedna z nich zauważywszy, że przysłuchuję się ich rozmowie, powiedziała do sąsiadki:

– Przestańmy mówić po swojemu, bo ten pan będzie się z nas śmiał.

A ja z wilgotnymi oczami powiedziałem:

– Przecież panie mówicie jak moja babcia, która mieszka 30 km na południe od dawnej granicy z Prusami. To dla mnie wielka radość Was słyszeć.

Potem rozmawialiśmy długo o ich tragediach lat powojennych, które były podobne do naszych tragedii lat wojennych.

Od tego czasu złapałem bakcyła i w ciągu dotychczasowego życia odbyłem sporo spływów po Brdzie, Wdzie, jeziorach augustowskich i Czarnej Hańczy. Z młodzieżą zasadniczej szkoły chemicznej, pod kierunkiem magistra Perlińskiego, chemika i pasjonata fotografii, odbyłem też dwutygodniowy obóz wędrowny po słowackich Tatrach i polskich Pieninach. Niestety w Smokowcu i Szczyrbskim Plesie przez tydzień lało. Natomiast tydzień w Pieninach był po prostu cudowny.

Gdy już kończyłem pracę na Kapuściskach, Michał Finkelsztajn namówił mnie na kolonie, których był kierownikiem. Początkowo nie chciałem, bo miałem bardzo przykre doświadczenia, gdy byłem jako student wychowawcą na koloniach w Golubiu. Ostatecznie zgodziłem się zostać jego zastępcą i w Kotlinie Kłodzkiej spędziłem jeden z najprzyjemniejszych miesięcy. Mieszkaliśmy w miejscowości Mostowice nad Dziką Orlicą, która stanowi w tym miejscu granicę między Polską a Czechami, wtedy jeszcze mocno pilnowaną. Mając do dyspozycji przystosowaną do przewozu osób ciężarówkę, zwiedziliśmy z kolonistami całą Kotlinę Kłodzką od Kudowy i Gór Stołowych po Międzygórze i pasmo Śnieżnika. Największe wrażenie zrobiła na kolonistach i na nas czter-

dziestometrowa fontanna w Dusznikach, wielokolorowo podświetlana. Ten spektakl odbywający się tylko kilka razy w tygodniu w godzinach wieczornych był wtedy czymś nadzwyczajnym.

Świetne było też jedzenie. Organizatorem kolonii był bydgoski Romet, realizujący wtedy program dojścia do rocznej produkcji miliona rowerów i mający duży fundusz socjalny. Mieliśmy doskonałą stawkę żywieniową, a oprócz tego dochodziły puszki z szynką z programu pomocy „narodu amerykańskiego dla narodów świata”. Szkoda, że tak szybko zapomnieliśmy o pomocy żywnościowej USA dla Polski po pierwszej wojnie światowej (program Hoovera), o darach UNRRA dla wygłodzonej Europy po II wojnie światowej czy o darach żywnościowych po 1956 r.

Ale najpiękniejsze były wieczory, gdy wychowankowie spali, a cały personel ryczał w stołówce ze śmiechu, słuchając kawałów opowiadanych ze śmiertelną powagą przez Michała. Była w tym i jego radość życia, ale być może pokrywał on w ten sposób pamięć i żal po swym Ojcu – zagłodzonym, zamęczonym ciężką pracą i biciem bydgoskim Polaku żydowskiej narodowości. Do tego wątku jeszcze wrócę.

Ten pobyt w porównaniu z tym, co widziałem w Kotlinie Kłodzkiej niedawno, wymagałby oddzielnego omówienia.

Tak minęły wakacje i zacząłem jako nauczyciel Liceum Pedagogicznego nowy etap swego życia w Bydgoszczy.

### Summary

Professor Janusz Rulka, Ph.D., a history teacher from Bydgoszcz, for years connected with the Kazimierz Wielki University of Bydgoszcz, started his teaching and tutorial career in 1957 at the vocational schools dormitory in Łukaszewicza Street and at the primary school no. 28 in Kapuściska District in Bydgoszcz. He described the experiences from his first job in colourful memoirs.